

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Konrad a ludzie i naród (Przyczynek do interpretacji Dziadów drezdeńskich)

Trzecia część Dziadów jest równocześnie tragedią narodu i tragedią Konrada tj. Mickiewicza. O tej drugiej chciałbym wypowiedzieć parę uwag.

Panuje ogólna zgoda, że — jeżeli zastosujemy dawną, dziś zakwestjonowaną teorię dramatu, którą jednak Mickiewicz niewątpliwie uznawał i zrobił swym punktem wyjścia — winą tragiczną (hamartia) Konrada jest duma. Że zwraca się ona przeciw Bogu, że omal nie powoduje katastrofy, że zostaje ostatecznie przelamana — to rzeczy po tysiącokrotnie powtarzane i niewarto im poświęcać nowych rozważań.

Lecz jeżeli zostaniemy przy owej starej teorii dramatu, musimy uzmysłowić sobie wszystko obejmujący i wszystko przenikający charakter ujemnej cechy bohatera. Stosowaliśmy do niej — słusznie czy niesłusznie — słowa Hamleta, wypowiedziane z powodu duńskiego pijaństwa, o jedynej władzie zatrzymującej wszystko w człowieku i odbierającej wszelką wartość jego cnotom, chociażby nawet były nieskalane, jak sama łaska Boża.

To też Mickiewicz niewątpliwie chciał dumie Konrada nadać piętno wszechstronności, pokazać ją nie tylko buchającą potężnym płomieniem buntu ku górze, ale też wysyłającą niszczące promienie ku istotom bliskim z tej samej płaszczyzny. Duma Konrada psuje jego stosunek nie tylko do Boga, ale i do ludzi. Nie wiem, czy na ten motyw trzeciej części Dziadów dostatecznie zwrócono uwagę. Sądzę raczej, że było przeciwnie. Wyzyskując źródła, dowodzące, że w genezie poematu wielką rolę odegrał „Prometeusz” Eschylosa, mówiono zbyt wiele o „nadmiernej miłości do śmiertelnych” (Prometeusz cierpi dla ten lian filoteta broton), a zapomniano o tem, że owa miłość Konrada, rzeczywiste nadludzka, jest przecież zabarwiona jego pychą i przez nią zepsuta moralnie.

Poeta pisał trzecią część Dziadów z wiosną roku 1832 w Dreźnie. Pisał jednym ciągiem, bo przecież „rozbiła się nad nim bania z poezją”. Nie należy sobie jednak wyobrażać, aby plan powstawał dopiero podczas przelewania poematu na papier. Był najwidoczniej w zasadniczym zarysie obmyślony. Co do Improwizacji mamy relację wiarygodnego świadka, że powstała w ciągu jednej nocy pod wpływem ekstatycznego natchnienia. Ale i ona musiała już przedtem istnieć w pomysłach — jest przecież punktem szczytowym konstrukcji. Luźne sceny, nie będące owocem naprzód ułożonego planu, istnieją może od sceny IV, w partjach, w których tragedia Konrada schodzi na plan drugi wobec tragedji Polski. Natomiast scena wieczorna zbiorowa, wielka improwizacja i scena egzorcyzmów to zwarta całość, ściśle związana nawet jednocześnie z tem, co przedtem było.

niej celowe i tak ją musimy traktować.

Spójrzcie tedy na zachowanie się Konrada w scenie pierwszej. Jest on obojętnym na żale towarzyszy i ich próby rozweselenia się wzajemnego mimo cierpienia i groźnej przyszłości. Oderwał się od ziemskiego otoczenia. Posepny i odrętwiały pozornie, duchem krąży daleko.

Dwa razy tylko budzi się z zadumy. Pierwszy, krótki epizod ważny jest dla sceny trzeciej. Konrad staje w obrobie imienia Najświętszej Panny. Wystąpienie to komentuje kapral rubasznym porównaniem: Szuler, któremu została jedna moneta, może dorobić się majątku. Tak będzie i z Konradem. Został mu po utracie wiary kult Marii. On to sprawi, że Konrad nie „wyrzucenie ostatniego słowa” bluźnierstwa, że uratuje go książę Piotr i skieruje na drogę wiary i pokory. Cnoty te będą większe, niż przed upadkiem moralnym (Szuler kaprala „większy skarb przed śmiercią, niżli miał zostawi”).

Ważniejszy jest drugi epizod, kończący scenę. Tu Konrad naprzód śpiewa „pieśń szatańską” zemsty, potem wybucha „Małą improwizacją”.

Nie obchodzi nas tu, jak ją należy interpretować, dość powiedzieć, że pełna jest pogardy ludzi. Konrad wznosi się „nad plemię człowiecze” i „zgóry spoziera na ludy”, poczem następuje pogoń za „przyszłymi wypadkami i następnymi laty”, wreszcie walka z krakiem.

Do nuty pogardy ludzi wracamy w pierwszych słowach Wielkiej Improwizacji: „Samotność, cóż po ludziach” itd. „Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trzuci”... „Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy niepotrzebne”. Konrad żąda posłuchania tylko od Boga i od natury. Istotami

sobą sobie równymi pogardza. Wzbiły w pychę, rozkoszuje się potęgą swej pieśni — a depce nawet poetów, mędrców, proroków”, a więc szczyty ludzkości. Pojawia się potem uczucie siły, następuje ustęp o skrzydłach, po nim wspaniały ustęp o miłości, obejmującej cały naród. Tu znów możemy symptomatyzować z Konradem.

Lecz pogarda dla ludzi, „skazitelnich, marnych, ale nieśmiertelnych” wraca wnet, jak wracają motywy wagnerowskie. Poeta żąda władzy. Wprawdzie opierać się ona ma na uczucia, na miłość do narodu, tak cudnie przedtem ujętej, duma jednak miłość tę zatrzuwa. Padają najznamienniejsze dla naszego problemu słowa, malujące, jaką ma być władza Konrada nad rodakami:

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnia, tem się uszczęśliwia,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną.

To straszne żądanie odbiera wartość wyrażonemu zaraz po nim zamiarowi „zanucenia pieśni szczęśliwej” (tj. uszczęśliwienia narodu). Bo jaką to ma być szczęście, jakimi środkami zdobyte, sam tylko Konrad chce rozstrzygać. To też czujemy, że Bóg nie może dać i nie da mu władzy, gdyż wkładałby miecz w ręce szalonego, który znęcałby się nad nie zgadującymi jego myśli i nie spełniającymi jego zamysłów. Ze szczytnej miłości Ojczyzny rozwinęła się psychika tyrana — psychika tego cara, którego imienia zechce Konrad później użyć jako najwyższego bluźnierstwa przeciw Bogu. Potworny zaiste paradoks: tak kochać naród i kazać mu cierpieć i przepaść za to, że inaczej chciał kształtować swe szczęście, niż Konrad! Poeta później przez usta księdza Piotra,

uosabiającego jego samego po odrodzeniu moralnym, będzie mówił o „słowach głupstwa, najcięższej dla mądrych ust męce”. Dużo tych słów odnosi się w Improwizacji do Boga, tu mamy szczyt głupstwa w stosunku do narodu.

Odtąd już nurt Wielkiej Improwizacji zwraca się stale ku Bogu. Raz tylko wspomina poeta swe osobiste cierpienia, poczem powtarza — znów w przepięknej, genialnej formie — określenie swej nadludzkiej miłości Ojczyzny, dodając obraz swej boleści, zrodzonej z jej boleści. Ale uczucia te są właściwie tylko bronią w walce z Bogiem.

Na zakończenie stwierdzmy jeszcze, że zaledwie Konrad wyzwolił się z mocy szatana, znów wraca temat miłości ludzi, ale już ma treść inną.

Któż mi dał rękę? — dobrzy ludzie i anioły. Teraz zrozumiał Konrad, że bliźnich trzeba kochać inaczej — nie z wysokości pychy, ale miłością czynną. Narzędziem jego ocalenia był skromny, niewykształcony kapral, który nabrał do niego sympatii jako do obrońcy Imienia Maryji i sprowadził na ratunek księdza Piotra. Słyszymy też wyznanie winy:

Ludzie? Ludźmi gardziłem,
nie znałem aniołów.

W kończących scenę trzecią (a właściwie i tragedję Konrada) pieniach aniołów usłyszymy jeszcze proste, w formę naiwnej pieśni nabożnej ujęte słowa o owej miłości prawdziwej:

My tak ludzi kochamy,
Tak z nimi być żądamy.
Wygnań od mędrków króli —
Prostaczkę nas przytul,
Nad nim noc, dzień śpiewamy.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

Mury obronne starego Krakowa

Jak każde większe średniowieczne miasto tak i Kraków myśleć musiał już w zaraniu swego istnienia o obronie przed najazdem nieprzyjaciół, przy pomocy odpowiednich fortyfikacji. Najwcześniej obwarowaną częścią miasta był zapewne Wawel. Wnioskować o można choćby z wypadków, które rozegrały się w Krakowie w roku 1285. Konrad II, książę Mazowiecki, chcąc odebrać tron Leszkowi Czarnemu, wzniecił wojnę domową. Ogarnęła ona swymi płomieniami również ziemie krakowską. Leszek Czarny oceniając powagę sytuacji, powierza swą żonę Gryfinę opiece mieszczan krakowskich, sam zaś udaje się na Węgry z prośbą o pomoc. Krakowianie obiegani przez Konrada, nie mogąc obronić, słabo widocznym obwarowanego miasta, cofnęli się na wzgórze wawelskie, i tam oczekiwali odsieczy Leszka Czarnego, któ-

ra przyszła niebawem. Leszek Czarny z wdzięczności za dochowanie wierności, oprócz szeregu przywilejów, któremi obdarzył mieszczan krakowskich, opatrzył miasto w obronniejsze mury, wieże i przekopy, by na przyszłość mogło się skutecznie bronić. Odtąd obwarowanie Krakowa potężnieje, dzięki poparciu następców Leszka, Łokietka i Jagiełły.

Owczesne obwarowanie miasta składało się z murów, gęsto wzmocnionych basztami, oraz z broniących do nich dostępu wałów i fos wypełnionych wodą, i palisad drzewnych. Opasywało ono ściśle dzisiejsze śródmieście Krakowa, zamknięte obecnie kręgiem plant, które powstały na miejscu tych obwarowań, w pierwszej połowie ub. stulecia. Obwarowania miejskie zburzono w latach 1809 do 1820.

Wyobrażenie jak wyglądały średniowieczne fortyfikacje krakowskie, daje

nam zachowany na szczęście do dziś dnia ich fragment u wylotu ulicy Florjańskiej. Są tam trzy baszty, połączone murem. Na wysokości piętra mur posiada od strony miasta chodnik dla strażników. Baszty posiadały po kilka izb, dolną, która służyła za skład broni. Z izb pierwszego piętra strzelano z armat mniejszego kalibru, z pięter wyższych rażono nieprzyjaciół bronią palną mniejszego kalibru, z rusznic, a nim te weszły w użycie z łuków. Baszty miały oprócz tego ganki z otworami przeznaczonymi do lania smoły, ukropu, oraz zrzucania kamieni na głowy tych, którzy ośmieliliby się dotrzeć pod mury baszty. Na zewnątrz od murów łączących baszty znajdował się mur niższy, a przed nim rów głęboki napelniony wodą. Przed rowem wzniesiony był wał i palisada drzewna.

Gdy z rozwojem artylerji trudność sprawiała ustawianie armat większego

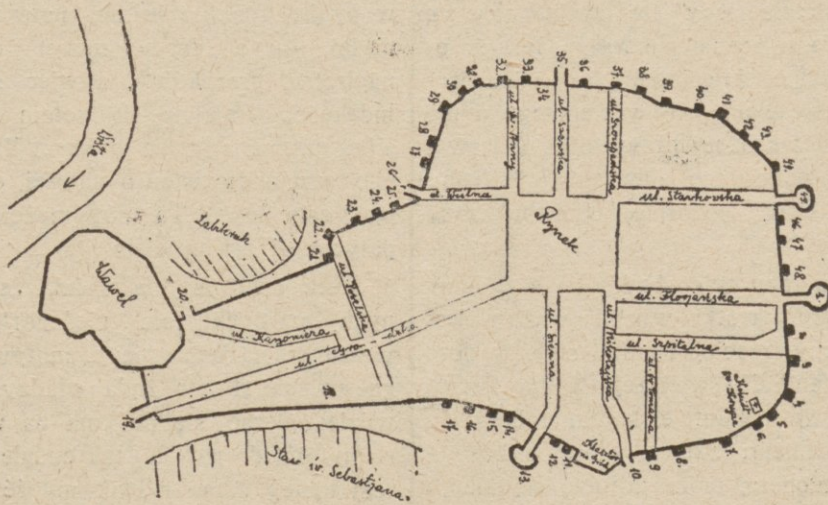
Kalibru na murach, względnie basztach, zaczęto dla nich budować specjalne bastiony, wysunięte daleko wprzód przed linię murów miejskich. Takim bastionem jest istniejący do dziś dnia szczyłek fortyfikacji krakowskich barbakan. Jest on unikatem budownictwa wojennego w Europie. Zbudowany w latach 1496 do 1500 wybiegał daleko poprzód mury obronne. Łączył go z murami, nie istniejący dzisiaj, murowany korytarz. Barbakan umożliwiał nie tylko strzelanie z ciężkiej artylerji, bronił on również bocznym ogniem dostępu do ciągnących się po obu stronach barbakanu murów, oraz służył za miejsce, z którego oblężeni robili wypadki na nieprzyjaciela. Barbakanów takich, czyli rondli, miał średniowieczny Kraków trzy, przed bramami Florjańską, Sławkowską i Nową. Rondel przed bramą Nową był czworogranny, przed Sławkowską w kształcie serca.

Warowne mury średniowiecznego Krakowa wzmocnione były 46 basztami. Obronę każdej z nich wraz z przyległymi murami powierzono cechom, jednostkom organizacyjnym, w które ujęte było ówczesne mieszczaństwo. Rozmieszczenie baszt obrazuje zamieszczony obok plan. A więc u wylotu ulicy Szpitalnej widzimy basztę pasamoników rzemieślników zajmujących się wyrobem materiałów zdobnych, przetykanych nićmi metalowymi złotymi i srebrnymi, (zachowaną do dziś dnia). Oznaczono ją na planie liczbą 2. Od niej ku wschodowi, w stronę dworca, czuwały nad murami dwie baszty karczmarzy (3 i 4). Kościół św. Krzyża broniły baszty prochowa i grzebieniarzy (5 i 6). Dalej stały baszty bronione przez kupców i barchaników (7 i 8). U wylotu ul. św. Tomasza wznosiła się baszta czapników (9). Dalej za klasztorem na Gródku stały naprzeciw dzisiejszej siedziby straży pożarnej baszty kordybaników i prochowa druga (11 i 12). Od ulicy Siennej do kościoła św. Józefa broniło murów cztery baszty kowali, siodlarzy, rymarzy i bernarzy (14, 15, 16 i 17). Dalej strzegł miasta leżący poza klasztorami św. Józefa, św. Piotra, św. Andrzeja i św. Marcina głęboki parów i staw św. Sebastjana. Obrona następnego odcinka murów należała do Wawelu.

Jeśli powrócimy z powrotem ku bramie Florjańskiej i podążymy od niej w stronę przeciwną ku zachodowi, to znajdziemy ku ulicy Sławkowskiej, napotkamy na zachowane do dziś dnia baszty solarzy i powroźników (48), oraz na basztę cieślów (47). Tuż przy ulicy Sławkowskiej stała baszta cechu mydlarzy i mieczników (46). Na dzisiejszym odcinku plant między ulicą Sławkowską i Szczepańską broniły dostępu do murów miejskich dwie baszty szewskie (43 i 44), dalej dobudowana w wieku XVII baszta (42), oraz baszty sług miejskich (441), Łaziebników i śledziarzy (40) introligatorów i stelmachów (39), paśników (38), oraz garncarzy (37). Między ulicami Szczepańską i Szewską spotykamy wzmianki o jednej tylko baszcie garbarzy (36). A dalej broniły baszt i przyległych murów cech nożowników (33), cech rusznikarzy (32), cech kaletników (30), miechowników (29), cyrulików (28), solarzy (27), malarzy (25), iglarzy (24), prochowa (23), rymarzy (22), u wylotu ulicy Poselskiej, i murarzy (21). Od baszty murarzy do zamku na Wawelu ciągnął się mur bez obrońnych wież. Dostępu do niego broniło bowiem bagniste trzęsawisko zwane Żabikruk, zapewne od mieszkańców, którzy je zamieszkiwali.

Oprócz baszt zwykłych mury mie-

skie miały 7 baszt, w których znajdowały się bramy. A to pięknie do dziś dnia zachowaną bramę Florjańską (1), której obronę powierzono kuśnierzom, dalej bramę Mikołajską (10) u wylotu ulicy tejże nazwy, bronią przez rzeźników, bramę Nową (piekarzy, 13) i wylotu ulicy Siennej, bramę Grodzką (złotników 19) pod zamkiem, u wylotu ulicy Grodzkiej. Brama Poboczna (26) znajdująca się niegdyś między wzgórzem wawelskim a domem Długosza nie była zabezpieczona żadną basztą, ze względu na trudny do niej dostęp. Broniła jej załoga zamkowa. Oprócz tych istniały jeszcze bramy Wiślna (26, kotlarzy i ślusarzy) przy ulicy Wiślniej Szewska (35 białoskórników), w pobliżu ulicy tej nazwy, i brama Sławkow-



1. Brama Florjańska wraz z barbakanem, bronią przez cech kuśnierzy.
2. Baszta pasamoników (szmuklerzy).
3. i 4. Baszty karczmarzy.
5. Baszta prochowa pierwsza.
6. Baszta grzebieniarzy.
7. Baszta przekupniów.
8. Baszta barchaników.
9. Baszta czapników.
10. Brama mikołajska, bronią przez rzeźników.
11. Baszta kordybaników.
12. Baszta prochowa druga.
13. Brama nowa, wraz z barbakanem, bronią przez piekarzy.
14. Baszta kowali.
15. Baszta siodlarzy.
16. Baszta rymarzy.
17. Baszta bednarzy.
18. Klasztor św. Józefa, św. Piotra, św. Andrzeja i św. Marcina, których murów ostoiętych stawem św. Sebastjana, nie broniły żadne baszty.
19. Brama grodzka, bronią przez złotników.
20. Brama poboczna bronią przez załogę zamku wawelskiego.
21. Baszta murarzy.
22. Baszta prochowa trzecia.
23. Baszta iglarzy.
24. Baszta malarzy.
25. Brama wiślna, bronią przez kptlarzy i ślusarzy.
26. Baszta solarzy.
27. Baszta cyrulików.
28. Baszta miechowników.
29. Baszta kaletników.
30. Baszta, która uległa zburzeniu w połowie XVII stulecia.
31. Baszta rusznikarzy, w której znajdowała się furka.
32. Baszta nożowników.
33. Kościół akademicki św. Anny.
34. Brama szewska, bronią przez białoskórników.
35. Baszta garncarzy.
36. Baszta paśników.
37. Baszta introligatorów i stelmachów.
38. Baszta łaziebników i śledziarzy.
39. Baszta ceklary (sług ratuszowych).
40. Baszta nowo-dobudowana w XVII wieku.
41. i 42. Baszty szewskie.
43. Brama sławkowska wraz z barbakanem, bronią przez krawców.
44. Baszta mydlarzy i mieczników.
45. Baszta cieśli.
46. Baszta solarzy i powroźników.

ska (45), bronią przez krawców, położona przy ulicy Sławkowskiej.

Ponieważ niełatwo było przekroczyć pierścien tych fortyfikacji ataki nieprzyjaciół skupiały się przedewszystkiem na bramach, które wymagały szczególnej obrony.

Koszta utrzymywania w odpowiednim stanie obwarowań miejskich spadały w pierwszym rzędzie na mieszczan. W wiekach XVII i XVIII, część tych ciężarów ponosił skarb państwa. Ustawy z XVII. wieku przewidywały pewne ulgi dla mieszkańców tych miast, które miały mury obronne, utrzymywane kosztem mieszkańców. Na obronę miasta przeznaczano wówczas opłaty celne pobierane od kupców zagranicznych za przewóz i składowe towarów.

Gdy umierający mieszczanin nie miał spadkobierców połowa jego majątku szła również na ten cel. Ostatnią naprawę obwarowań Krakowa przeprowadzono w latach 1771—1790.

Do obrony średniowiecznego miasta zobowiązani byli prawie wszyscy jego mieszkańcy. Toteż co roku w dniu 1. maja urządzano w mieście pokaz obrony. Na ten dzień wszyscy mieszkańcy zobowiązani byli stawiać się w należytym rynsztunku w swoich chorągwiach „wcześnie z rana i na trzeźwo” — jak mówi odpowiednie rozporządzenie ówczesnego magistratu. „W celu ćwiczenia mieszczan na wypadek wojny była strzelnica, w której strzelano d'a wprawy do kura, ptaka drewnianego, murzyna, tarczy, z rusznic, hakownic a na wet armat. Najlepszego strzelca nazywano królem kurkowym. Który za to używał przez cały rok wolności od podatków, a od roku 1765 pobierał 3 tys. złp. ze skarbu państwa w zamian za zniesioną wolność podatkową”.

Gdy nad miastem zawisło niebezpieczeństwo trębacz miejski z ganku na wieży ratusza wygrywał starą melodię „Boga Rodzico”. Kto żył biegł do domu po broń i co tchu w piersiach stawał u bram baszty, broniącej przez cech, do którego był przynależny. Pracujących ku murom napastników witał grad pocisków, a gdy mimo to zdołali wziąć szturmem fosy i wały i podeszli pod mur ostatni spadały na ich głowy strugi roztopionej smoły, wrzącej wody i kamieni. Przedpole pokrywało się ranymi i poległymi.

Dzisiaj, gdy przeciętny mieszczuch krakowski spędza słoneczne popołudnie na przepięknych plantach krakowskich ani mu przez myśl nie przejdzie odtworzyć sobie jeden choćby fragment z ich przeszłości. A była ona naprawdę niezwykle ciekawa. Dzisiaj na miejscu, które dawniej było niejednokrotnie świadkiem śmiertelnych zmagających, wśród klombów kwiecia, w cieniu rozłożystych drzew, beztrudno i spokojnie bawią się gromady dzieci, nie domyślając się nawet, że orężne dzieje wiążą się z tym pięknym, zajmującym przestrzeń 21 hektarów, szmatem zieleni, jedną z ozdób Krakowa.

ak.

Nazwiska żydowskie

Dyskusja na temat pochodzenia nazwisk żydowskich, a w szczególności nazwiska Gordon, z której zdawałem sprawę na tem miejscu, trwa dalej. „Sunday Times” umieszcza list profesora Yahudy, a z tego cennego dokumentu, wyszłego z pod ręki Żyda, warto podać parę szczegółów.

Uczony żydowski jest zdania, że żydowscy Gordonowie mieszkali niegdyś w Szkocji i tam doszli do swego nazwiska. Musieli je nosić już przed wypędzeniem z Anglii Żydów przez Edwarda I (1290). Analogię stanowi fakt, że zachowało się podobieństwo między Żydami i nazwiskami hiszpańskimi, a przecież dużo nazwisk hiszpańskich, a przecież wydano ich z Hiszpanii w roku 1492 (mowa naturalnie o tych, którzy wymigrowali, a nie o maranach). Zresztą między wschodnimi Żydami zachowuje się w żargonie mnóstwo słów staroniemieckich lub średnioniemieckich. Znowu wchodzi w grę kwestja wypędzenia Żydów z Niemiec. Są oni wogóle na punkcie językowym bardzo konserwatywni.

Dalej snuje ów profesor Yahuda analogię między językiem angielskim a żargonem Żydów polskich i wschodnich. Wykazuje przytem zupełną nieznaną historię fonetyki angielskiej, przypisując wymowę imienia Izaak w

żargonie (Ajzyk) angielszczyźnie. Przecież w czasie, gdy Edward I wydał Żydów, Izaak wymawiał się „Izak”, tak zresztą było jeszcze w w. XVII. Dyfongizacja długiego i (tj. zastąpienie go bez zmiany pisowni dźwiękiem dwugłoskowym aj) nastąpiła w stuleciu następnym.

Drugi językowy przykład p. Yahudy jest ciekawszy (pytanie tylko, czy nie obróci go w niwecz jakiś językoznawca). Polscy i rosyjscy Żydzi używają słowa *davenen* = modlić się. Można je wyjaśnić tylko jako angielskie tłumaczenie hebrajskiego wyrazu *szaharith* = modlitwa poranna. W w. XII świat nazywał się w dialekcie szkockim *dawneying*, dziś nazywa się *dawu* lub *dawning* (podobnie w angielskim).

Trudno powiedzieć, czy p. Yahuda ma słuszość. Jego językoznawczy wywód co do Ajzyka usprawia sceptycznie i co do reszty wywodów. Ale warto przytoczyć dalsze uwagi na temat zmieniania nazwisk przez Żydów angielskich. Czynili to oni wedle p. Yahudy „z przyczyn mniej lub więcej zasługujących na usprawiedliwienie” — n. p. w okresie wielkiej wojny dla uniknięcia pozu, że są Niemcami. Czasem tłumaczyli dosłownie całe nazwisko. Rosenberg stał się Rosehillem, Grünfeld Greenfieldem, Korn-

feld Cornfieldem. To znowu wybierali istniejące nazwiska, starając się tylko o zachowanie pierwszej litery lub zgłoski bez zmiany. Amszewitz zmienił się w Asquitha (czasem skromniej w Askwitha), Isaacson w Saxona (ale nie rdzennego!), Cohen w Cowena.

Na zakończenie anegdota. Lord Curzon powiedział kiedyś autorowi, że zdziwił się, spotkawszy w Persji Żyda o starem hiszpańskim nazwisku. Yahuda odparł: „Bywają i wypadki odwrotne. Żyd zmienia nieraz stare nazwisko na nowsze — n. p. Cohen na Curzon”. (Cohen ma często formę Kohn).

„W pierwszej chwili myślałem, że reakcja będzie nieprzyjemna” — ale niedarmo lord Curzon dobrze żył z Żydami. Powiedział grzecznie: „Gdybym był Żydem, nie wyrzekłbym się takiego nazwiska, jak Cohen, które oznacza potomka arcykapłana Aarona, a więc najstarsze drzewo genealogiczne na świecie”. — „Tak”, rzekł ośmielony Yahuda, gdyby wszyscy nie-Żydzi myśleli tak, jak wasza lordowska mość, wtedy Ładen Cohen aniby nie zamarzył o wyrzekaniu się nazwiska — nawet dla zstąpienia Curzonem”.

Niezwykle charakterystyczna rozmowa...

Bertrand Russel i jego dzieła

Wpływ książek, pisanych w złym duchu, działa na społeczeństwo wogóle, a zwłaszcza na młode pokolenie w sposób destrukcyjny. Ludzie obecnej epoki, przeżywający chwilę ciężkie, których system nerwowy potrzebowałby uspokojenia i chociaż chwilowego zapomnienia lub dobrej rady — biorą do ręki książkę Russela o tytule tak interesującym jak „Wychowanie i urząd społeczny” w nadziei, że rozważania tego filozofa, staną się dla nich wskaźnikiem życiowym.

„Point de reveries” jak mawiał raz Mikołaj I. do Polaków! Russel jako komunista twierdzi, że jeżeli oparta na nauce cywilizacja ma się wogóle ostać, to niezbędnym warunkiem jej przetrwania musi być utworzenie państwa wszechświatowego, które sprawowałaby rządy ku szczęściu ludzkości. Naturalnym następstwem byłoby wprowadzenia na całym świecie jednolitego systemu wychowania, który wpajałby obywatelom poczucie lojalności wobec tego państwa. Przyznaje wprawdzie, że ten system przeszkadzałby rozwojowi jednostki, ale lojalność wobec państwa wszechświatowego, przede wszystkim nie będzie wymagała wojny, a kiedyś po wiekach, może znowu kultura się odrodzi. Na teraz trzeba przyznać pierwszeństwo wychowaniu obywatela.

W tem wszystkim, jedynym motywem jest wstręt do wojen (zresztą podzielany ogólnie), który Russel odczuwał zawsze w tym stopniu, że po wybuchu wojny światowej, pisał przeciw wstępowaniu do wojska. Kosztowało go to wiele, bo został ukarany grzywną, utratą wykładów w Cambridge i więzieniem. Ze wojna jest zabytkiem czasów barbarzyńskich i strasznie nieszczęściem ludzkości — na to go dziminy się całym sercem, ale za cenę upadku kultury, za państwem wszechświatowym, oświadczyć się nie możemy.

Russel krytykuje wszystkie systemy wychowawcze. Nie są one bez briedu, ale trudno byłoby pogodzić się z jego programem nauczania, który wygląda, jak następuje. Nie powinno się przedewszystkiem niczem dziecka krępować — niech się uczy tego co chce i o ile chce. Przymus w wychowaniu zabija oryginalność i może rozbudzić nienawiść. Nawet sprawa czystości jest uważana za obrzydliwą tyranię ze strony rodziców, którzy dbają o czystość przez snobizm. „Dzieci mogą być czyste dwa razy dziennie: rano i wieczór — poza tem powinny poznawać świat, tarzając się po ziemi i ocierając o twarz, zabłocone ręce”. (str. 35). —

Wychowanie, polegające na wczesnym uświadamianiu dzieci, braku przymusu, a nawet tolerowaniu pewnych zbrodni (bo to znowu tak bardzo nie szkodzi) — ma być również wolne od nauki religij, ponieważ wierzenia religijne są **głupstwem**, a także nie należy rozwijać patriotyzmu, gdyż rozbudzanie miłości własnego kraju pociąga za sobą nauczanie fałszu, bo dzieci nie dowiadują się o przewinieniach swego narodu. Wogóle pierwiastek idealny powinien być wykluczony.

Wypowiedziawszy te pojęcia przyznaje Russel, że jednak zupełna swoboda w wychowaniu nie nauczy opierania się podszeptom chwilowego impulsu i że trzeba wzmocnić wolę. Ale w jaki sposób ma się pogodzić tę swobodę z koniecznym przymusem, tego nie mówi, a czytelnik który wziął książkę do ręki w nadziei, że znajdzie ważne wskazówki w kwestiach wychowawczych, przekonywa się, że najlepiej zrobić, wychowując dziecko po dawnemu, to jest wpajać mu dobre nałogi, które stawszy się drugą naturą, nie dopuszczają do rozwoju złych skłonności, drzemających na dnie każdej ludzkiej duszy. Tak wychowany człowiek będzie także dobrym obywatelem.

Autor nie wypowiada się stanowczo z wychowaniem dzieci przez państwo, zdaj-

się jednak ku temu skłaniać, ponieważ system ekonomiczny komunistów nie daje się pogodzić z prywatnym posiadaniem dzieci. Spodziewa się, że Rosja dostarczy z czasem danych i faktów, które pozwolą o tem rozstrzygnąć. Na razie nie wydaje ostatecznego sądu w tej sprawie. W kwestji szkolnej wymienia cały szereg rozmaitych systemów, z których żaden nie jest możliwym do przeprowadzenia. Między innymi projekt wprowadzenia szkół dla dzieci wyjątkowo inteligentnych. Można sobie wyobrazić na jakie przykrości byłoby narażeni rodzice i wychowawcy tych „wyjątkowo inteligentnych”, ze strony przeciwniej! Wogóle wszystkie plany i teorie Russela są dziwnie mgliste i nie stałe — to, co w jednym rozdziale uważa za najlepsze, w następującym uznaje za niemożliwe.

W jednym tylko sprawie występuje stanowczo, a to w kwestji religji. Wypowiada nawet zdania niegodne człowieka nauki, na przykład, że wiara w Boga i życie pozagrobowe może doprowadzić do rozpacz, gdy się tę wiarę utraci, lub że ludzie bogaci twierdzą dla własnej wygody, że nie trzeba się starać o ulżenie doli biednych, bo kto na ziemi cierpi, będzie miał większą nagrodę w niebie. Wreszcie, że znał ludzi wychowanych w religji katolickiej, którzy gdy wierzyć przestali za-

częli zachowywać się w sposób godny pożałowania, świadczy to wprawdzie, że się tak stało w skutek utraty wiary, ale Russel ma na to inny pogląd. Jakież bierno zasłoniło mu oczy, gdy patrzył na czyny ludzi bezreligijnych. — Zdaniem jego ludzie religijni nie odznaczają się wielką inteligencją. (Zapomniał choćby o św. Tomaszu z Akwinu lub o Pasteurze) — a z pewną ironją stwierdza, że w Ewangelji nie ma ani jednego słowa na pochwałę inteligencji.

Credo swoje wypowiada w książce pt. „W co ja wierzę”. Jedyną jego wiarą jest wiedza, mająca być użytkowaną dla szczęścia ludzkości. W jaki sposób potrafi pocieszyć smutnych, nakarmić głodnych i podać upadłym dłoń pomocną — to jego tajemnica.

Z pobytu w Rosji doznał Russel pewnego rozczarowania — widocznie inaczej wyobrażał sobie raj sowiecki. Może nie wyniósł także dodatniejszych wrażeń z pobytu w Pekinie, gdzie jego wykłady na uniwersytecie, miały matematykę za punkt wyjścia. Prawdopodobnie te przeżycia skłoniły go do napisania w 1924 r. książki pt. „Ikar”.

Późniejsza dzieło pt. „Podbój szczęścia” poświęcone jest rozważaniom w jaki sposób uzyskuje się szczęście, wedle Russela przez pozbycie się wad takich, jak egoizm,

pycha lub zawiść, będących powodem rozmaitych przykrości. Religja uczy nas, że człowiek powinien pracować nad swym udoskonaleniem, aby zbliżyć się do doskonałości Boga. Jakiemi drogami dążyć będzie nowożytny człowiek Russela, który patrzy na to, że stanowiska utylitarnego pozostają dla nas tajemnicą, bo przecież w jego kodeksie idealny punkt widzenia nie istnieje. —

W jednym z ostatnich swych dzieł pt. „Małżeństwo i moralność” stawia Russel na przyszłość takie horoskopy, że gdyby nie wyglądały na utopję, można by ośmielić z przerażenia. Cała budowa społeczna ma się w gruzy rozsypać — rodzina przestanie istnieć, zastąpi ją matriarchat, ponieważ kobieta wybierać sobie będzie na ojca swego dziecka coraz innego mężczyznę, więc stwierdzenie ojcostwa będzie utrudnionem. Opiekę ojca zastąpią władze państwowe. Psychologia Russela polega na upatrywaniu w ludziach wszelkiego rodzaju najgorszych skłonności zaczawszy od najwcześniejszego wieku, opierając się na teorii Freuda, przypisujących dzieciom wprost zwyróżniające uczucia i upodobania. Społeczeństwo amerykańskie zdobyło się na odwagę usunięcia Lindseya z urzędu sędziego — byłoby rzeczą wskazaną gdyby Anglia obmyśliła sposób unieszkodliwienia Russela. Możeby zechciał wyjechać na wyspy Trobriandzkie, gdzie panują zwyczaje, cieszące się jego uznaniem. L. P.

O gołębiach pocztowych

Nie sięgając aż do czasów biblijnych i arki Noego, spotykamy już w starożytności liczne dowody na to, iż pocztowy gołąb używany był chętnie celem przenoszenia wiadomości, nieraz na bardzo odległe miejsca.

Skrzydłacy ci posłańcy roznosili po całej Grecji nazwiska zwycięzców w igrzyskach olimpijskich, — podobną rolę spełniały też gołębie w Rzymie za czasów Cezarów.

Służbę pocztową pełnili również gołębie w starożytnym Egipcie, skąd zwyczaj ten przedostał się następnie na Wschód. W wieku XII i następnych hodowla gołębi pocztowych w Europie staje się przywilejem władców i magnatów; niezależnie od tego jednak stan kupiecki posługuje się chętnie gołębiami, celem porozumienia się w przeprowadzaniu operacji handlowych.

Stopniowo używa się tych małych, a tak pewnych posłańców do innych, ważniejszych celów: komunikowania się między sobą oddziałów wojskowych przesyłania wieści z miast i twierdz, obłożonych przez nieprzyjaciela.

Specjalnie ważną rolę odegrały gołębie podczas oblężenia Paryża w roku 1870-1971. Przed rozpoczęciem blokady sprowadzono do Paryża z różnych stron kraju tysiące gołębi pocztowych, dzięki którym jedynie udało się potem utrzymać komunikację z oblężoną stolicą.

Po tym udanym eksperymencie Niemcy pierwsi wprowadzają systematyczną hodowlę gołębi pocztowych, wyszkolonych odpowiednio dla celów wojskowych. Za przykładem Niemiec poszły inne państwa, zakładając stacje gołębi pocztowych w dużych miastach, twierdzach, na wyspach.

Ogromne usługi oddały też gołębie podczas wojny światowej, przede wszystkim podczas walk pozycyjnych, w okopach. Mimo padających pocisków, mimo mgły i gazów, gołębie docierały do miejsca przeznaczenia, przenosząc szybko i pewnie ważne wiadomości, decydujące nieraz o wyniku bitwy.

Nie każdy gołąb posiada potrzebne

kwalifikacje, by mógł spełniać swe odpowiedzialne funkcje „wojskowo-pocztowe”. Najodpowiedniejszymi okazały się gołębie o piórach srebrno-szarych z połyskiem metalicznym, hodowane w Anvers, Liège, a następnie gołębie „flandryjskie” i „irländzkie”.

„Trening” gołębia pocztowego wymaga przede wszystkim ogromnej cierpliwości, troskliwości i nieustannej opieki. Kiedy gołąb ma już dwa miesiące, odbywać zaczyna pierwsze „próbne” loty w pobliżu gołębnika. Następnie przenosi się go stopniowo coraz dalej, na odległość 1, 2, 3, 4 kilometrów, — i to zawsze w towarzystwie drugiego, starszego i doświadczonego już ptaka.

Gołąb jednoroczny uchodzi już za dojrzałego do swej pracy. Zdolny jest odbywać długie loty, na odległość dwustu i więcej kilometrów. Osobny rozdział stanowią loty nocne, do których gołębie trenuje się systematycznie przez czas dłuższy.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą obserwować początkową fazę lotu gołębia pocztowego. Czy go się wypuści z klatki umieszczonej na ziemi, czy z balonu, zawsze oba lot swój rozpoczną od kilku lub kilkunastu okrążeń, wzbijając się w górę lub spadając na dół. Okrążenia te powtarzają tak długo, aż natrafiają na strefę powietrzną, najbardziej im odpowiednią, a wówczas obydwa skierują się bez wahania w identycznym kierunku: w stronę gołębnika. Strefa ta znajduje się zazwyczaj na wysokości 200—300 metrów ponad ziemią, podczas deszczu jednak lub zimnych wichrów gołąb leci znacznie niżej, na wysokości 100—180 metrów.

W pomyślnych warunkach atmosferycznych gołąb pocztowy leci z szybkością około 100 kilometrów na godzinę; przy dłuższych dystansach jednak szybkość ta spada do 60—70 kilometrów.

Na temat zmysłu orientacyjnego gołębia wypowiadano najrozmaitsze hipotezy. Jedni badacze przyjmują istnienie u gołębia „szóstego zmysłu”, zlokalizowanego w wewnętrznym organizmie słuchowym; inni tłumaczą to specjalnym instynktem, dającym się spotęgować

przez odpowiedni trening, inni wreszcie uważają to za rodzaj swoistej „telepatji”, dzięki pewnym specjalnym wibracjom wysyłanym z gołębnika.

W ostatnich czasach używa się gołębi do rozmaitych innych, nie zawsze chwalebnych celów, jak do szpiegostwa, kontrabandy, przenoszenia zakazanych narkotyków, a nawet przemytu drogich kamieni.

Wreszcie spełniają też gołębie pocztowe funkcje... fotografów. Na piersiach ptaka przymocowuje się maleńki aparat fotograficzny z aluminium, ważący około 40 gramów, z obiektywem zwróconym ku dołowi. Aparat ten działa zupełnie automatycznie, a można nastawić go dowolnie w ten sposób, iż pierwsze zdjęcie nastąpi np. po 20 minutach, poczem automatycznie idą dalsze zdjęcia w jednodominutowych odstępach czasu. W ten sposób może nam skrzydlaty fotograf zrobić podczas jednego lotu do trzydziestu zdjęć, które następnie odpowiednio się powiększa.

Tak oto gołąb, ongi faworyt Wenery, przeszedł obecnie w służbę Marsa, stając się cennym sprzymierzeńcem i przyjacielem człowieka w czasach wojennych.

(kr.)

Ostrożnie ze wschodnimi sztyletami

Mr. William Benson Robinson z Pamaic w Stanach Zjednoczonych wybrał się w podróż nakoło świata na jednym z wielkich statków oceanicznych. Będąc w Bali w Indjach Holenderskich, kupił od tancersek świątyni tamtejszej malutki sztylecik i za powrotem darował go synowi. Chłopak zadrasnął sobie podczas zabawy egzotyczną bronią kolano. Noga zaczęła gwałtownie puchnąć. Wezwany lekarz orzekł, że powodem jest jakaś szybko działająca trucizna, kazał chłopca przewieźć do szpitalu, gdzie bezzwłocznie dokonano operacji. Młody William Benson Robinson wraca powoli do zdrowia. Na ostrzu sztyletu znaleziono bakterje, które są przedmiotem badań, dotychczas bezskutecznych.

Widowiska w Oberammergau

Z końcem maja br. rozpoczęły się w Oberammergau słynne widowiska pasyjne, na które zjeżdżają się tłumy cudzoziemców z całego świata. Widowiska te odbywają się z reguły co dziesięć lat (ostatnio w roku 1920), — tym razem jednak zrobiono wyjątek, w roku bieżącym bowiem przypada właśnie 300-setna rocznica ich powstania.

A powstanie swe zawdzięczają one nie zwykłym okolicznościom: Oto w roku 1632 szalała w Europie morowa zaraza; mieszkańcy doliny Ammer zamknęli szczelnie wszelki dostęp. Mimo to jednak pewien wieśniak, rodem z Oberammergau, zdołał zmylić czujność straży i przedostać się z zagranicy, gdzie stałe przebywał, do swej rodzinnej wioski. Nazajutrz znaleziono go martwym. Przyniósł ze sobą zarazki strasznej choroby, która w krótkim przeciągu czasu — od jesieni 1632 do lipca 1633 poczyniła we ws. straszliwe spustoszenie: Z pól szesnastu mieszkańców gminy zginęło 84, w tej liczbie i proboszcz i nauczyciel wiejski.

Przerażeni mieszkańcy, odznaczający się oddawna wielką pobożnością, zrobili wówczas solenny ślub, błagając Boga o odwrócenie od nich tej klęski. Ślubowali mianowicie, że regularnie co dziesięć lat urządzać będą uroczyste przedstawienia pasyjne, wyobrażające życie i mękę Chrystusa.

Tego rodzaju przedstawienia, znane zresztą już dużo przedtem, odbywały się i po innych krajach, a brali w nich udział głównie członkowie rozmaitych bractw religijnych. Niewątpliwie tak samo było i w Oberammergau; dopiero jednak od chwili złożenia tego ślubowania nabrały one właściwego charakteru misteryj religijnych, urządzanych odtąd regularnie, ustawicznie udoskonalonych, aż przybrały wreszcie obecną, definitywną formę.

Pierwsze to, ekspiacyjne, przedstawienie odbyło się w roku 1634; w następnych dziesięcioleciach następowały dalsze aż do roku 1674, poczem podjęto je na nowo w roku 1680, przestrzegając odtąd skrupulatnie okresów dziesięcioleci.

Pewien wyłom zrobili tu wojny: w roku 1870 artysta grający rolę Chrystusa Mayer, został powołany pod broń, skutkiem czego widowisko uległo czterocznemu zwłocze. Wielka wojna światowa sprawiła też, że widowisko, wyznaczone na rok 1920, zostało przełożone na rok 1922. W roku 1930 wraca się znów do okresów dziesięcioleci, robiąc jedyny wyjątek w roku bieżącym, dla uczczenia 300-lecia istnienia tych widowisk.

Można śmiało powiedzieć, że całe Oberammergau żyje temi widowiskami i żyje z nich. Cicha ta wioska bawarska jest unikatem w swoim rodzaju, jest kolebką i siedzibą całej plejady chłopów - artystów. Cała jej ludność niemal bierze w widowiskach tych czynny — mniejszy lub większy — udział. Małe dzieci i starcy, nie nadający się do większych ról, występują w chórach, w rolach statystów, żołnierzy rzymskich, Żydów itp. Okazyj do tego nie brakuje, skoro się uwzględni, że w przedstawieniu bierze udział ogółem około siedemset osób.

Role postaci głównych są już od całych pokoleń dziedziczne, przechodząc z ojca na syna lub na najbliższych członków rodziny. Przywileju tego strzeże każda rodzina bardzo zazdrośnie, nie pozwalając wydrzeć go sobie konkurentom, których niebrak wcale. Mieszkańcy Oberammergau uważają siebie za największy zaszczyt objęcie jakiejś większej, odpowiedzialnej roli w tem widowisku, naprawdę zupełnie wyjątkowem.

Tak np. rolę Chrystusa spoczywa od wieków w rękach rodziny Langów; ostatni jej wykonawca Antoni Lang, zmuszony

był w roku bieżącym, z powodu podeszłego wieku, ustąpić ją swemu synowcowi Ludwikowi.

Gwido Mayer gra od lat Judasza, Jan Mayer — Heroda, Klara Mayer — Marię Magdalene, Hugo Rutz — Kaifasza, Anna Rutz — Matkę Chrystusową itd.

Artyści wszyscy bez wyjątku, traktują swe zadanie z ogromną powagą i namaszczeniem. Przez całe miesiące, dzień po dniu, odbywają się próby, trwające po kilka godzin. Przed każdym przedstawieniem, o godz. 6-ej rano, odbywa się uroczysta msza św. w obecności wszystkich grających, nie wyłączając chórow i statystów. A kiedy już ubrani w swoje kostiumy zbiorą się na scenie, — przed podniesieniem kurtyny jeszcze raz na klęczkach zanoszą krótką modlitwę do Boga.

Po skończeniu widowiska wraca każdy do swych zwykłych, prozaicznych zajęć. Pilat — Breitsamer do swej tokarni, Kaifasz — Rutz do swej kuźni, Judasz — Mayer do swej golarni. A Klara Mayer (Maria Magdalena) z uprzejmym uśmiechem roznosi kawę i bułeczki wśród stołków, przy których porozkładali się zagraniczni goście.

Bo ostatecznie — trzeba myśleć o swym codziennym zarobku. Widowiska pasyjne trwają zaledwie parę miesięcy, — a powtarzają się tak rzadko!

Choć, co prawda, widowiska te stanowią główne źródło dochodów całej gminy. I oto źródło wcale poważne. Teatr, w którym one się odbywają, pomimość może i być iść widzą — i stałe jest zapelniony. Kartę wstępu są stosunkowo drogie, toteż ogólny bilans jednego sezonu zamyka się cyfrą paru milionów czystego zysku.

Zyski ten dzieli się na trzy części: z tego jedna idzie na gaże wszystkich artystów, druga na koszty dekoracji, reżyserji, inscenizacji, kostiumów i utrzymania budynku, — trzecia część wreszcie pozostaje do dyspozycji gminy, na cele kulturalno-oświatowe (wychowanie publiczne, szkoły przemysłu domowego, budynki użyteczności publicznej itp.).

Pod względem technicznym i artystycznym widowiska pasyjne w Oberammergau stoją na bardzo wysokim poziomie.

Zbudowany przed kilku laty nowy teatr — jest rodzajem olbrzymiego hangaru, zamkniętego z trzech tylko stron. Scena poza którą otwiera się rozległy,

wspaniały widok na Alpy bawarskie, posiada w środku duży budynek z kurtyną i krzyżem, umieszczonym na frontonie.

W głębi tego budynku rozgrywają się poszczególne fragmenty, widowiska, jak Synhedrjon, Ostatnia wieczerza itp.

Gdy jednak idzie o żywą akcję, z udziałem tłumy statystów, wówczas widowisko przenosi się na otwartą dużą scenę, mieszczącą się przed swym budynkiem. Widowisko wspaniałe, znakomicie wyreżyserowane i scharmonizowane.

Niezwykłym urozmaiceniem samej akcji są żywe obrazy, poprzedzające każdy ważniejszy epizod z życia Chrystusa, obrazy do których tematy zaczerpnięte są ze Starego Testamentu. Odznaczają się one wręcz artystycznym układem i wywierają niezapomniane wrażenie.

Cafe widowisko podzielone jest na trzy części. Rozpoczynają się wjazdem Chrystusa do Jerozolimy, wśród radoznego tłumy, przybranego w odświętne szaty. Część pierwsza kończy się na pojmaniu Chrystusa, poczem następują sceny pełne dramatycznego napięcia: droga Krzyżowa, męka i śmierć Chrystusa, — by znaleźć zakończenie w potężnym „Hosanna“ Zmartwychwstania. (kr.)

Mokra Ameryka

Zniesienie prohibicji nie przyniosło Stanom Zjednoczonym spodziewanego porządku. Każdy z 48 stanów potraktował nową ustawę indywidualnie i panuje niechany zamęt. Jedynie Dekawere (a więc najmniejsza z tych jednostek terytorjalnych) nie skarży się na stosunki, prawdopodobnie dlatego, że oddał kontrolę nad sprzedażą trunków wysokim w ręce jednego człowieka.

Stany Georgia, Tennessee, Alabama, Oklahoma, Północna i Południowa Karolina pozostały przy prohibicji i trwa w nich stan dawniejszy tj. bootleggerom powodzi się doskonale, a ludzie wolą moonshine („księżycówkę“ tj. wódkę fabrykowaną czy przemysłową przy świetle księżyca) od wody.

Sucha nominalnie jest i Floryda, gdzie leżą ulubione miejsca wypoczynkowe Stanów Zjednoczonych — Wybrzeża Palmowe, Miami itp. Dla gości nie istnieje zakaz alkoholu, a władze patrzą na to przez

palce. Tak nakazują względy gospodarcze. A nużby bogaci przybyłe zaczęli przywozić z sobą zapasy alkoholu?

Większość Stanów zniósła wprowadzoną prohibicję, ale wprowadziła ograniczenia w sprzedaży trunków — system ten nazywają Dera (od aktu obrony królestwa — Defence of the Realm Act, wprowadzając go w Anglii). Lecz ludzie nie chcą się zastosować i dzięki temu bootleggerzy dalej uprawiają swój handel.

Zresztą napoje, sprzedawane otwarcie, są stosunkowo drogie, gdyż cenę ich podwyższają podatki i opłaty za koncesję szynkarskie. Wobec tego bootleggerzy obniżyli ceny i robią niebezpieczną konkurencję.

Ala najniebezpieczniejszym objawem jest to, że całe mnóstwo ludzi zaczęło pić — poprostu dla mody. Wódka jest dozwolona, jest respectable, więc należy jej używać. Tak powiedziały sobie przedewszystkiem kobiety — i zastraszając ilość dam, spotyka się po barach. Obliczono, że

w Chicago liczba ich wynosi 25 proc. wszystkich gości.

Jak wiadomo, tajne bary nazywały się speak-easy (miejscami swobodnej rozmowy). Władze w Kalifornii postanowiły je wykorzenić. Rzeczywiście wysłedyły wszystkie i pozamykały. Powstały jednak równie liczne lokale, zwane speak-as-you-Please (miejscami jakiejś chęci rozmowy) — i mają liczną klientelę damską.

Trzeba jednak przyznać, że zniesienie prohibicji oddziało dobrze pod jednym względem. Tajna sprzedaż alkoholu, jakkolwiek istnieje, przestała być tym świetnym interesem, jakim była dawniej. To też zmniejszyła się znacznie ilość zbrodni, związanych z przemytem alkoholu, wojen między rywalizującymi z sobą bandami itp. Naogół jednak panuje niezadowolenie. Spodziewano się po ustawie, przywracającej sprzedaż alkoholu, lepszych skutków i niejeden Jankes mówi: „Ach, wprowadźcie napowrót prohibicję, żebyśmy mogli pić w spokoju i wygodzie!“

Ciekawostki ze świata

Dziecko urodzone w pociągu

Z Glasgow idzie do Londynu nocny pociąg pociąg pociąg, zwany Royal Scot. Pasażerowie tego ekspresu zdziwili się bardzo, gdy zatrzymano się w pobliżu miasta Wigan (normalnie pociąg nie zatrzymuje się przez całą drogę ani razu). Okazało się, że dała sygnał alarmowy niejaka Mrs. Seddon z Dalococh w Szkocji, poczuwszy bóle porodów i tracąc przytomność. Udzielony jej natychmiast pomocy i zatelefonowano do naczelnika stacji w Crewe, ażeby oczekiwał przybycia ekspresu z lekarzem i akuszerką. ale zanim przybyła do Crewe, Mrs Seddon była już matką zdrowej dziewczynki. Obie przebywają w szpitalu w Nantwich i mają się dobrze.

Gdzie już ci Szkoci się nie rodzą! — brzmiała uwaga jednego z pasażerów, naturalnie Anglika.

Śmierć z radości

W Salford w Anglii zaszła katastrofa automobilowa, w której odniósł ciężkie obrażenia niejaki Mr. Everett. W Wigan mieszka Mrs. Everett, która ma krewnych w Salford i wyczytawszy w gazetach nazwisko bez imienia, zaczęła martwić się, że nieszczęście spotkało jednego z jej krewnych.

Inna pismo, wychodzące później przyniosło imiona i ktoś znajomy pobiegł do staruszki z wiadomością, że wypadkowi uległ obcy człowiek. „Dzięki Bogu, że to nikt z naszej rodziny“ zawołała Mrs. Everett i upadła. Zawezwany lekarz mógł już tylko stwierdzić zgon z powodu ustania działalności serca. Jako przyczynę podał silne wzruszenie.

Radjo zrobiło figla

Stany Zjednoczone święcą setną rocznicę zgonu Lafayette'a. Ambasador francuski zapowiada uroczystości przez radjo transmitowane z Paryża. przemówienie ministra spraw zagranicznych. Nagle następuje parę świstów i zamiast oczekiwanego mowy Ameryka otrzymuje tłustą, hałaśliwą forę. Dopiero po niej rzęga się angielski przekład tego, co powiedział p. Barthou.

Przypomniano sobie, że podczas strajku pocztowców komuniści doszli się do rządowej stacji nadawczej i ledwie zdołano im przeszkodzić w uruczeniu milionów słuchaczy swą propagandą, zaczęto więc podejrzewać, iż rzekomy kawał polegał na czemś podobnem. Tymczasem wcale tak nie było. Poprostu pójść coś zakłopotani kierownicy radja amerykańskiego niefortunnie wybrali któryś z punktów przygotowanego na później progra-

mu. Z tem wszystkim nie umiający po francusku Amerykanie mogli myśleć, że to co słyszeli przed przekładem, było mową p. Barthou i dziwić się jego sposobowi przemawiania.

Jettatura

Jak wiadomo, Włosi są niesłychanie zabobonni, — między innymi wierzą w „uroki“. Na ten temat opowiadają w Paryżu następującą historijkę.

Prezes słynnego klubu sportowego „Olimpique de Marseille“, wysiadając z auta, natknął się na jakiegoś oberwańca, który ofiarował się mu pilnować auta za drobnem wynagrodzeniem. Prezes odmówił, — a gdy wrócił po kwadransie, — na aucie znajduje wymalowane „złe oko“ z wymownym napisem „Jettatura“...

I oto w parę dni później „Olimpique“ faworyt całej Francji, przegrywa zawody o puchar Francji, a następnie ulega w walkach eliminacyjnych o szampionat. Na domiar złego obrabowano kasę klubu, zabierając z niej sto tysięcy franków!

A owo „uroczne oko“, wymalowane na samochodzie, nie da się niczem zmyć...

Powieść sowiecka ostatniej doby

W czasach ostatnich powieść w Z.S. S.R. stoi pod znakiem triumfów epiki. Parę miesięcy temu pozwoliłem sobie zwrócić z tego miejsca uwagę na znamienny fakt świadomego nawrotu beletrystyki sowieckiej do burżuazyjnych, klasycznych, tradycyjnych form artystycznych. Nawrót ten pociągnął za sobą wręcz niezwykle dobroczynne skutki: powieść sowiecka, ledwie węgająca przedtem, odrazu zaczęła odnosić jeden po drugim wysoko wartościowe sukcesy artystyczne.

Zrealizowało się wreszcie marzenie budowniczych kultury socjalistyczno-proletariackiej: ustrój markowski potrafił się wreszcie zdobyć na stworzenie literatury pięknej nienagannie rewolucyjnej, prawo wiernie proletariackiej, — literatury programowej i propagandowej, a w tym propagandzie swym tem niebezpieczniejszej, że programowość ta i charakter agitacyjny podawane są w sposób bardzo delikatny, subtelny, pod płaszczykiem istotnie dużego obiektywizmu artystycznego. A co najważniejsze, — literatura ta potrafiła się zdobyć na idealne zharmimizowanie proletariackiej, propagandowej treści z wysokiej wartości formą artystyczną, — formą — jak już się powiedziało, — nawiązującą do najlepszych tradycji literatury burżuazyjnej, jeszcze tak do niedawna traktowanej przez sowiecką awangardę literacką za przekreślony już raz na zawsze przeżytek cywilizacji „feudalnej” i „burżuazyjnej”.

Jak już wiemy z tego, co mówiłem na tem miejscu przed paru miesiącami, literatura sowiecka może, dzięki temu połączeniu proletariacko-propagandowej treści z tradycyjną, burżuazyjną formą literacką, — pochlubić się sukcesami artystycznymi tej miary, co „Skok” Brażnina i „Zbrodnia Cyryla Bezsonowa” Lidina. Dodajmy do tego „Płatą miłość” Karpowa i zwróćmy uwagę na to, że mój dziś u nas w Polsce powieści Katarjewa „Naprzód, czasie”, pisana tak zwanym stylem rewolucyjno-awangardowym i stojąca na uboczu ruchu literackiego w Sowietach, nawracającego do tradycyjnych form artystycznych, jest w gruncie rzeczy tylko dokumentem obyczajowo-propagandowym, nie posiadającym żadnej wartości artystycznej, a ściślej mówiąc — mającym wartość artystyczną odwrotnie proporcjonalną do szumu reklamy, jaka towarzyszyła ukazaniu się polskiego przekładu tej powieści i zdobyła jej w szerokich sferach czytelników całkowicie niezastudzoną opinię najlepszej powieści sowieckiej czasów ostatnich i co ważniejsze, a co już jest zupełnie mylne — powieści, niezwykle charakterystycznej dla literatury sowieckiej dnia dzisiejszego.

Bez wielkiego wrażenia natomiast przeszło u nas ukazanie się na półkach księgarskich dwóch naprawdę wspaniałych arcydzieł literatury sowieckiej ostatniej doby — powieści Szolochowa „Zorany ugor” i „Cichy Don”. Jeżeli chodzi o pierwszy z tych utworów, artystyczna wartość jego została wydatnie obniżona przez słaby przekład polski: „Cichy Don” zaś ukazał się narazie tylko pierwszy tom, nie dający jeszcze pojęcia o istotnych wartościach tego arcydzieła. Nawiasem mówiąc, tom pierwszy polskiego przekładu odpowiada połowie pierwszego tomu oryginału rosyjskiego, którego całość obejmie cztery tomy; — tym czwartym dopiero wychodzi z druku.

W istocie zarówno „Zorany ugor”, jak i „Cichy Don” — to wspaniałe arcydzieła epickie, zapowiadające rychły renesans epiki w literaturze, — autor zaś ich, Michaił Szolochow — to talent narracyjny, talent epicki, posiadający dar emocjonowania, sugerowania i porównania czytelnika, nie mający chyba sobie równych w literaturze europejskiej od czasów Sienkiewicza. Treść „Zorany ugoru” — walka o kolektywizację wsi sowieckiej, — treść więc dla czytelnika niesowieckiego przeważnie mało sympatyczna lub co najwyżej obojętna, — podana jest w formie tak sugestywnej, tak porównawczej, że czytelnik — sam nie zdając sobie sprawy z tego, — zostaje wciągnięty w wir wypadków, w powieści się rozgrywających, w spłót spraw i dramatów bohaterów powieści, które stają się wnet jego własnymi sprawami i dramatami. By tak oddziaływać na czytelnika, trzeba być talentem wysokiej klasy!

A jeszcze wyżej, niż „Zorany ugor”, — jako arcydzieło par excellence epickie, stoi „Cichy Don”, istna epopeja, epopeja

nie tylko gdy chodzi o technikę i środki artystyczne ale i epopeja ze względu na temat doskonale epicki, jakim jest wojna domowa w Rosji: walka między „czerwonymi” a „białymi” w Ziemi Wojska Dońskiego, Szolochow, sam z pochodzenia doński kozak, świetnie odczuł i odtworzył życie i psychikę kozaków — tych dziwnych pół chłopów, pół rycerzy, i na tło tego kozackiego bytu rzucił pełną dynamikę dramatycznej i bujności epickiej akcję zmagania się świata rewolucyjnego z kontrrewolucją.

Osobiste sympatie bolszewickie autora nie zagłuszają przecież w nim odgłosów obiektywizmu artystycznego, Szolochow — komunista nie przytłacza Szolochowa — artysty. Mimo widocznej propagandy rewolucyjno-komunistycznej, jaka przebiega między wierszami „Cichego Donu” — nad sztuką pisarską Szolochowa wszechwładnie króluje bezstronność i beznamietność epicka, godna największych epików czasów minionych.

Obok „Cichego Donu” i „Zorany ugoru”, epika świeci d literaturze sowieckiej ostatniej doby triumfy na polu powieści historycznej, w pierwszym rzędzie w znakomitej powieści Aleksieja Tolstoja „Piotr Pierwszy”. Dziwnym zbiegiem okoliczności — najznakomitszym powieściopisarzem historycznym w literaturze rosyjskiej dnia dzisiejszego jest autor, to samo nazwisko naoszący i z tej samej rodziny pochodzący, co wybitni przedstawiciele rosyjskiego powieściopisarstwa historycznego epok minionych.

Jest bowiem autor „Piotra Pierwszego” blisko spokrewniony z Aleksym Konstantynowiczem Tolstojem, autorem powieści historycznej z czasów Iwana Groźnego pt.

„Książę Srebrny”, napisanej w połowie XIX wieku, — jak i również i z wielkim Lwem Tolstojem, twórcą jednej z najznakomitszych powieści historycznych w literaturze światowej — „Wojny i pokoju”.

„Piotr I.” Aleksieja Tolstoja olnacza się olbrzymią erudycją i rzadko spotykanym zmysłem historycznym: epoka, jej tło, ludzie i duch epoki — wszystko to odtworzone jest niezwykle wiernie, a zarazem niezwykle sugestywnie. Talent pisarski Tolstoja — to, jak i u Szolochowa, talent par excellence epicki, a jeżeli mający takie piękne literackie tradycje rodzinne ex-hrabia ustępuje kozakowi dońskiemu w zakresie zdolności narracyjnych i umiejętności porównania czytelnika fabułą, — to przecież znacznie go przewyższa kulturą artystyczną i niezwykle plastycznością typowo epicką, tak rzadko spotykaną u dzisiejszych pisarzy.

Przy tem wszystkim jest ex-hrabia Tolstoj prawowitym pisarzem sowieckim, rewolucyjno-proletariackim, — tendencję jednak umie ukryć głęboko u podstaw swego dzieła, w niczem nie naruszając harmonji i prawdy zarówno historycznej, jak i artystycznej, — którą to prawdą i harmonją cechuje jego osiągnięcia i sukcesy w zakresie odrodzenia powieści historycznej.

Oprócz autora „Piotra I.” — na polu powieści historycznej pracuje dziś w Z. S. S. R. wielu innych pisarzy. Jakaś to olbrzymia różnica w porównaniu z literaturą sowiecką z przed paru lat jeszcze, kiedy to każdy prawowity autor sowiecki uważał za punkt honoru nieuznanie historii i kompletne ignorowanie przeszłości, — twierdził bowiem, że zaprzeczony jest w przyszłość, historia zaś zachodzi dla niego od przewrotu pa-

ństwa, a nie od urodzin Marksa.

Sowieccy powieściopisarze historyczni dzielą się na dwie kategorie: jedną z nich stanowią autorzy zdecydowanie programowi, propagandowi, dla których tematy historyczne — to tylko środek do rozwijania tez walki klasowej. Dla nich przeszłość i jej dzieje — to początek i koniec nie mający teren walki klas, walki proletariatu z klasami uciskającymi. Pod tym kątem naświetlają wszystkie epoki, — a między nimi i Jerzy Sztorm autor „Opowieści o Bolotnikowie” — w swoim rodzaju Spartakusie rosyjskim z początku XVII stulecia, który korzystając z zamieszek w państwie — podniósł bunt w obronie interesów ludu przeciw bojarom i zginął w tej walce. Również i Szapowalenko w „Roku 1801” te same co stanowią temat i powieści rosyjskiego emigracyjnego pisarza Aldanowa „Spisek” — dzieje Pawła I. i spisku przeciw niemu naświetla pod kątem widzenia interesów ludu i klasy proletariackiej.

Do drugiej kategorii powieściopisarzy historycznych, tj. do grupy zwolenników czystego artyzmu, sympatyzujących z bolszewizmem, ale nie podporządkowujących propagandzie jego swej sztuki — należą Olga Forsz (oryginalna pod względem formy powieść „Odziani kamieniem”), Gubier, autor powieści „Miesiąc mgieł” (z epoki przewrotu wojskowego Napoleona 19 brumaire’a) i „Rok 1830” (z rewolucji lipcowej w Paryżu), a przede wszystkim Jerzy Tynianow, twórca nawiązującej do montażowych ekspresjonistycznych powieści „Porucznik Kize”, „Kuchla”, „Śmierć Wazyra Muchtara”, w których sugestywnie maluje Rosję i jej ludzi z końca XVIII i początku XIX. w szczególności rosyjską elitę rządzącą i artystyczną.

Teodor Parnicki.

Co to jest „suchy lód”

Wytwarzanie niskich temperatur już od dawna przestało być eksperymentem laboratoryjnym, interesującym tylko szczupłe stosunkowo grono uczonych teoretyków.

Dla licznych gałęzi przemysłu stało się ono zagadnieniem równie doniosłym, jak dla innych wytwarzanie ciepła, — że wymienimy tylko przemysł spożywczy, konserwację świeżych ryb, mięsa, wytwarzanie lodów i t.p.

Najprostszą i najtańszą metodą, jak dotychczas, jest wytwarzanie sztucznego lodu. W ostatnich jednak czasach pojawił się nowy produkt, t. zw. „lód suchy”, znajdujący stopniowo coraz szersze zastosowanie.

Wytwarza się go z bezwodnika kwasu węglowego, znanego nam tak dobrze, jako zasadniczego składnika wody sodowej.

Bezwodnik kwasu węglowego jest

gazem ciężkim, cięższym 22 razy od wodoru. Daje się stosunkowo łatwo skraplać, a jego „temperatura krytyczna” (t. j. temperatura, powyżej której przechodzi ze stanu płynnego w stan gazowy) znajduje się przy 31°. Dzięki tym właściwościom można go z łatwością przechowywać w stanie płynnym, w stalowych balonach.

Skaro otworzymy kurek zamykający taki balon i puścimy strumień płynnego kwasu węglowego na jakąś skrzynkę, której dno zaopatrzone jest w liczne drobne otworki, — ujrzymy ciekawe zjawisko: Oto na dnie skrzynki osadzają się kryształki śniegu.

Kwas węglowy płynny, w zetknięciu z powietrzem, paruje niesłychanie gwałtownie, powodując nagłe obniżenie temperatury do 79°, przy której to temperaturze przechodzi w stan stały.

Właściwość tę wyzyskano praktycznie w wielkich specjalnych fabrykach do wytwarzania suchego lodu. Naj-

prostszą jest procedura stosowana w niemieckiej „Maschinen — Fabrik Esslingen”, gdzie uzyskany „suchy śnieg” zostaje pod silnym ciśnieniem prasowany w bloki „suchego lodu”.

Cała procedura ta jednak jest jeszcze zaledwie kosztowna, by „suchy lód” mógł znaleźć powszechne zastosowanie w życiu codziennym.

Najwięcej używany jest w Ameryce, gdzie konsumpcja „suchego lodu” (dry-ice) ze 130 ton w roku 1925 doszła do 55 tysięcy ton w roku 1932.

Również i w Anglii znajduje „suchy lód” coraz szersze zastosowanie: produkcja w r. 1931 wyrażała się cyfrą 45 ton, w roku 1933 przekroczyła 4000.

Posiada „suchy lód” szereg zalet, przede wszystkim natury technicznej. Przedewszystkiem jest on tedy naprawdę „suchym”: przechodząc bezpośrednio ze stanu stałego w stan gazowy, nie pozostawia po sobie żadnych zupełnie śladów, nie zanieczyszcza ani użytych naczyń, ani powietrza.

Jest znakomitym środkiem oziębiającym, dzięki bardzo niskiej temperaturze (—79°), jaką wytwarza, i to środkiem bardzo skutecznym w działaniu, gdyż gaz wytwarzający się rozchodzi się równomiernie po całej ubikacji, którą chcemy oziębować. Wreszcie posiada on silne własności antyseptyczne: jak wykazały doświadczenia zawartość 20% tego gazu w atmosferze wystarcza zupełnie dla zapobieżenia zepsuciu się świeżego mięsa.

O ile tedy technika wytwarzania „suchego lodu” zostanie na tyle uproszczona i ulepszona, iż koszty produkcji nie będą się różnić wiele od kosztów wytwarzania zwykłego lodu, — można być pewnym, iż „suchy lód” stanie się niemal artykułem codziennego użytku, dzięki swym licznym, pierwszorzędnym zaletom.

(R.)

Czy wycięcie migdałków jest szkodliwe?

Medycyna zna cały szereg wypadków, w których wskazanem, a nawet koniecznym się staje wycięcie, względnie wyluszczenie tzw. „migdałków”.

Drobny ten zabieg wywołuje zawsze u pacjenta i laika rozmaite wątpliwości i zastrzeżenia, streszczające się w tem, czy nie pociągnie on za sobą jakichś szkodliwych skutków dla całego organizmu. Bo przecież migdałki muszą do czegoś służyć, skoro istnieją, — rozumuje laik.

Nad zagadnieniem tem zastanawia się lekarz dr. Światłowski w „Gazecie Lekarskiej”, dochodząc do wniosku, że obawy na tym punkcie nie są uzasadnione.

Doświadczenia przeprowadzone przez licznych badaczy dawały wyniki różne, czasem wręcz sprzeczne. W każdym razie stwierdzono u dzieci z wyluszczonymi migdałkami przyrost na wadze i lepszy rozwój ogólny.

Dr. Światłowski zaznacza, że migdałki podniebne lub gardłowe, które z reguły podlegają wyluszczeniu, stanowią razem z innymi migdałkami (pozasnowymi, językowymi i inne drobniejsze, rozmieszczone na tylnej ścianie gardła) jeden organ zwany w medycynie „pierścieniem Waldeyera”.

Przez usunięcie zatem migdałków gardłowych usuwamy zaledwie część tego „pierścienia”, podczas gdy reszta pozostaje w organizmie, przejmując na siebie „funkcję” usuniętych migdałków.

Hipoteza ta znajduje poparcie w fakcie, że dotychczas nie zauważono nigdy jakichkolwiek ujemnych następstw, wynikających z usunięcia migdałków, — podczas gdy np. wycięcie tarczycy i innych gruczołów o tzw. wydzielaniu wewnętrznym powoduje dla organizmu ujemne skutki, dające się z łatwością zaobserwować.

(N.)

Co to jest sen roślin?

W szeregu zjawisk fizycznych jakie zachodzą w roślinach, znajdujemy pewne zjawiska, które popularnie nazywamy „snem“ roślin. Zjawiska te obserwujemy u różnych roślin, których liście lub kwiaty przybierają inne położenie po zachodzie słońca, aniżeli w dzień, pozostają w niem przez całą noc, by ze wschodem słońca powrócić do położenia zajmowanego w ciągu dnia.

Periodyczne te ruchy nazywamy w zależności od pory dnia, położeniem dziennym, lub położeniem nocnym. Przeważnie obserwować możemy te ruchy u roślin posiadających liście złożone, tj. posiadających na jednym ogonku dwa, trzy, lub więcej pojedynczych liści.

Obserwując te rośliny widzimy, że w ciągu dnia liście przybierają takie położenie, aby promienie słoneczne mogły padać na nie prostopadle, a więc położenie poziome, w nocy zaś listki te składają się, przybierając położenie pionowe, np. listki mimozy (*Mimosa pudica*) na noc przybierają położenie pionowe, stykając się poza tem powierzchniami górnymi. Listki koniczyny również na noc składają się i zwracają ku górze.

Dalej mamy cały szereg roślin, których liście przybierają na noc inne położenie niż w dzień, z których wymienię rośliny dobrze każdemu znane, jak fasola, lubin, liście szczawniku i t. d. Również wiele roślin o liściach pojedynczych, a nawet liścienie niektórych roślin przybierają w nocy położenie prawie pionowe, wskutek wyginania się na zewnątrz ogonka.

Najciekawsze jednak zjawiska „snu“ spotykamy wśród kwiatów, objawiające się zamykaniem płatków lub okwiatu. Ruchy te niekiedy odbywają się wieczorem. U niektórych roślin następują one w różnych porach dnia, zwykle jednak dla danego gatunku stale o tych samych.

Tutaj wspomnieć muszę o pewnych ruchach roślin, które wywołane bywają przez pewne bodźce fizyczne, jak dotyk i uderzenie. Podrażnienie takie wywołuje reakcję, objawiającą się również zamykaniem kwiatu czy stulaniem liści, np. *Mimosa pudica*, za najłżejszym dotknięciem składa swe liście, skoro tylko usiadzie na ich górnej powierzchni mucha. Ruch ten jest wywołany podrażnieniem ze strony owada i w tym wypadku służy do pewnego określonego celu, a więc do złowienia owada.

Co jednak jest przyczyną snu roślin, oraz czy przynosi on jakieś korzyści roślinie, — postaram się w krótkości przedstawić.

Doświadczenia wykazały, że „sen“ roślin, a więc ruchy periodyczne liści lub kwiatów, zmieniające położenie tychże w różnych porach dnia, wywołane są światłem. Światło więc jest tym bodźcem, który wywołuje w roślinie zjawisko snu. Łatwo możemy o tem się przekonać wykonując następujące doświadczenie:

Bierzemy jakąkolwiek roślinę, u której zaobserwowaliśmy zjawiska snu, i chowamy tę roślinę w czasie dnia, a więc w porze gdy kwiaty ich są otwarte, do ciemnego pokoju. Po krótkim czasie zauważymy, że kwiaty te przybrały położenie nocne.

Przez zmianę oświetlenia wywołujemy więc sen tych roślin. Możemy też odwrócić czas ich snu przez trzymanie rośliny w czasie dnia w ciemności, w nocy zaś je oświetlać.

Prócz światła również zmiana tem-

peratury wpływa na sen kwiatów. Szczególnie wrażliwe na zmianę temperatury są kwiaty tulipanu i szafarunu (*Crocus*). Jeżeli weźmiemy kwiat szafarunu albo tulipanu i w dzień umieścimy go w ciemnym pokoju, wówczas kwiat zamknie się, następnie gdy go ogrzejemy, wówczas kwiat się otworzy, pomimo ciemności. Przeciwnie nagłe oziębienie się temperatury w dzień spowoduje zamknięcie się kwiatu, jakkolwiek znajduje się on w świetle.

Widzimy z tego, że chłód działa na rośliny podobnie, jak ciemność. W niektórych kwiatkach przeważa wpływ światła, w innych zaś temperatury.

Korzyści jakie rośliny czerpią ze snu, są aż nadto widoczne. Przedewszystkiem dzięki pionowemu ułożeniu liści, zmniejsza się promieniowanie ciepła, chroniąc roślinę od oziębienia, rozpostarcie zaś listków w dzień potrzebne jest do procesu asymilacji.

Zamykanie się kwiatów na noc, czy też w chłodnej porze dnia (w czasie deszczu) zabezpiecza i ochrania organy rozrodcze (słupki i pręciki), od zwilżenia i zniszczenia ich przez rosę czy deszcz. Otwarcie zaś kwiatów przypada na porę, w której latają owady, przyczyniające się do zapylenia tychże. Są kwiaty, które w dzień chłodne i wilgotne nie otwierają się wcale.

Na koniec pozostałoby omówić mechanizm, służący do wykonywania ruchów periodycznych liści. Mechanizm ruchu u liści złożonych, polega na czynności t. zw. poduszczonek, które znajdujemy u podstawy ogonków listków. Poduszczonek, są to twory walcowate, soczyste, nieco ciemniej zabarwione, znajdujące się u nasady ogonka. Są one elastyczne w przeciwieństwie do ogonka, który jest sztywny. Elastyczność ta

wynika z budowy poduszczonek, w których wiązki naczyniowe przebiegają w t. zw. osi obojętnej, tj. nie wyciągają się i nie ściskają, gdy poduszczonek ugię na się w górę lub w dół, podczas gdy w ogonku wiązki naczyniowe, ułożone w pierścieni otaczający soczysty rdzeń, nadają mu sztywność.

W poduszczonek wiązki naczyniowe otoczone są soczystym miąższem, rozwiniętym kosztem rdzenia i odznaczającym się wielką zdolnością zmiany jedności komórek.

Dzięki zmianie jedności komórek, tj. zmianie zawartości wody w obu częściach poduszczonek, zależnej od zmiany oświetlenia, występuje kolejne wydłużenie się górnej części poduszczonek, a kurczenie dolnej — i odwrotnie, co w skutkach wywołuje ruchy liścia, zmieniające jego położenie.

Przez zaciemnienie rośliny, podwyższa się jedność w całej poduszczonek, jednak nierównomiernie, — naprzód z tej strony, która przy nocnym położeniu liścia jest wypukłą, przeciwnie zaś strona zostaje ściśnięta, — przez oświetlenie zaś zmniejsza się ilość wody w poduszczonek, również nierównomiernie, bo naprzód w tej części, która miała większą jedność w położeniu nocnym dzięki czemu część, którą przedtem była wklęsła, staje się teraz wypukłą, i liście przyjmują położenieienne.

Doświadczenia wykazały, że rośliny te, po usunięciu bodźców, wywołujących wyżej opisane ruchy periodyczne liści, w tym wypadku światła, przez pewien czas nadal te ruchy wykonują, później ruchy te ustają. Jeżeli doprowadzimy do ustania tych ruchów przez ciągle oświetlanie rośliny (liście znachodzą się stale w położeniu dziennym), to po powrocie do stanu normalnego,

roślina zacznie na nowo wykonywać te ruchy, które wykonywała przedtem.

Jeżeli zaś doprowadzimy do ustania tych ruchów — trzymając roślinę przez dłuższy czas w ciemnościach (liście znachodzą się w położeniu nocnym), to po przywróceniu normalnego stanu roślina traci na pewien czas zdolności ruchu i odzyskuje je dopiero po dłuższym okresie.

Dochodzimy więc do wniosku, że ruchy periodyczne liści wywołane są bezpośrednim oddziaływaniem światła i ciemności.

Oprócz tych ruchów periodycznych liście złożone odbywają jeszcze inne ruchy, jak nutacje wahadłowe do góry i na dół, ruchy heliotropiczne, polegające na zwracaniu górnej powierzchni liści w stronę najbardziej oświetloną i zwracanie się w kierunku słońca, zamykanie się liści w porze maksymalnego nasłonecznienia w samo południe, przez co osłabia się działanie światła na ich powierzchnię, wreszcie ruchy całej rośliny.

Zjawiska te nazywamy tropizmem lub taksją, zależnie od tego, czy cała roślina, czy też tylko jakaś jej część (liście, kwiaty) wykonuje pewne ruchy.

Mówimy więc o heliotropizmie czy heliotaksji, hydrotropizmie, hydrotaksji, geotropizmie, geotaksji, zwykle ujemnej lub dodatniej, zależnie w jakim kierunku tropizm czy taksja działa.

Pozostaje jeszcze wspomnieć o mechanizmie ruchu w liściach pojedynczych i kwiatkach (płatkach). Różni się on od mechanizmu ruchu liści złożonych tem, że przyczyną jego jest nie jedność, lecz wzrost rośliny.

Wyginanie się liścia na zewnątrz, lub wewnątrz, zamykanie się płatków, zależne jest od prędszego wzrostu to jednej, to drugiej strony ogonka lub płatka. To też w tych roślinach ruchy periodyczne „snu“, odbywają się tylko w czasie wzrostu rośliny.

Tadeusz Kwaśniewski

Posiew, który wyda plon

Obok chorych i starców, dla których radio jest szczególnie błogosławieństwem, do najwdzięczniejszych słuchaczy należą dzieci. Sama już cudowność tajemniczej skrzyneczki, z której wydobywają się głosy istot niewidzialnych, potężnie oddziaływa na wrażliwą duszę dziecka i usposabia ją sugestywnie.

To też nie brak licznych dowodów, że wpływ wywierany przez radio jest wyjątkowo mocny. Dzieci trudne, z którymi bezpośredni wychowawcy rady sobie dać nie mogą, często — na głos z mikrofonu, jakby z zaświatów idący — stają się uległe i posłuszne. Otóż ten swój atut Polskie Radio postarało się wyzyskać dla celów społecznych. Nie wszyscy, zapewne, wiedzą o istnieniu t. zw. dziecięcej „rodzinki radiowej“. Dała jej początek prowadzona z małymi słuchaczami korespondencja, a ściślej mówiąc, odpowiedzi na coraz liczniejszą napływającą listy dzieci, zadających rozmaite pytania, wyrażających żądania i sądy o programach. Dzięki tym właśnie odpowiedziom, młodzi abonenci zaczęli wzajemnie się sobą interesować.

„Skrzynka radiowa“, nie przestając na udzielaniu odpowiedzi, zaczęła pośredniczyć między słuchaczami i zapoznawać ich ze sobą. Tym sposobem dokoła swej skrzyneczki zgrupowało się małe społeczeństwo, w którym znalazły się dzieci z najrozmaitszych sfer, często całej klasy i szkoły, a wszystko to zaczęło poczuwać się do pewnej solidarności. Dzieci szczęśliwe dowiadywały się o nieszczęśliwych, zdrowe o chorych, zamożne o ubogich.

W obliczu radia wszystkie one stawały się sobie równe. Nic nie przeszkadzało

nawiązaniu nici sympatii i współczucia.

Wymiana zdań i sądów przestała być starczą: zrodziła się potrzeba wzajemnego pomagania sobie, co też Skrzyneczka gorliwie je popierała, organizując ową pomoc i udzielając wskazówek, w jakim kierunku dobre chęci zwracać się winny.

Tym sposobem rozwinęła się akcja dobroczynna „dzieci radiowych“.

Przedewszystkiem „rodzina radiowa“ zajęła się dziećmi choremi. Zwrócono uwagę na kolonje letnie, którym mali pacjenci Polskiego radia nie skąpią ofiar. Niemniej gorliwie zajęto się rówieśnikami ubogimi, co wyraża się ze szczególną mocą w okresie świąt Bożego Narodzenia: syplą się składki i dary w naturze. Znaczną ich część stanowią książki, odzież i zabawki, wysyłane na Kresy dla działań szkół powszechnych.

Jak wdzięcznym sercem podarki te bywają przyjmowane, świadczą listy dziękczynne, które całemi paczkami przychożą do kierowniczki działu dziecięcego we Lwowie p. Ady Artz, popularnej „cioci Ady“, czy też do innych pań, prowadzących w Warszawie, Wilnie, Krakowie i Katowicach audycje dziecięce.

Rodzina radiowa z każdym rokiem wzrasta. Wprawdzie występują z niej dzieci starsze, młodszych jednak coraz więcej przybywa. Nie brak wszakże i takich, które nawet już podrosły, kontaktu ze Skrzyneczką nie zrywają i we wszelkich akcjach dobroczynnych dalej biorą udział.

A jednocześnie podejmowane przez rodzinę akcje coraz szersze przybierają rozmiary. Miarą tego może być fakt, że w ciągu lat ostatnich rozsyłana białej dzia-

twie odzież i książki już nie setki, ale tysiące kilo stanowi.

Działalność charytatywna dątały radiowej posiada nie tylko filantropijne znaczenie; również ważne, a może jeszcze ważniejsze jest oddziaływanie pedagogiczne. Rodzina radiowa uspołecznia młodzież, każe jej interesować się losem bliźniego, kochać go i współczuć.

Dziś, gdy społeczeństwo tak częściej dzieli się na walczące ze sobą grupy, gdy najrozmaitsze antagonizmy rozbijają solidarność narodową nie można lekceważyć wpływu Polskiego Radia w duchu jednoczenia i bratania ze sobą działwy na całym obszarze Rzeczypospolitej. Jest to posiew, który tylko dobre ziarno wydać może.

P.

Nowinki filmowe

— Wytwórnia „Uniwersal“ realizuje ostatnią powieść Vicki Baum pt. „Kochałam go“. Reżyser Karl Freund zaangażował do głównych ról w tym filmie genialną artystkę dramatyczną Ameryki, — Wynne Gibson oraz Pawła Lukasa.

— Podróże Gulliwera wg. Deana Swifta, odżyja na ekranie w całej krasie swej fantastyczności. Transpozycji przygód Gulliwera na ekran dokona wytwórnia „Uniwersal“.

— Claude Rains, bohater „Niewidzialnego człowieka“ odtworzy popisową rolę w nowym filmie pt. „Człowiek bez głowy...“

Margaret Sullivan w najbliższych dniach przystąpi do pracy nad filmem „Anioł“, wg. powieści Melchiora Lenguyela.

— 6 —